

Złoty cielec.

Powieść wysnuta z aktów kryminalnych.

F. Łęcki.

6

Ciąg dalszy.

Elwira skinęła głową, wyszła do przyległego saloniku i zaczęła grać jakiegoś fantastycznego marsza. Z pod klawiszów dobywały się ostre, burzliwe, chaotyczne akordy. Była to muzyka gniewu, czy szału, muzyka improwizowana, natchniona niezadowolaniem duszy, czy walką jakąś wewnętrzną. Snovard okazał wielkie zajęcie się tą grą i poszedł do saloniku, baron chciał iść za nim, ale zatrzymał go Gwido.

— Odchodzę ojcie, czas mi do kasyna.

— Ależ zostań. Nie wypada; mamy gości.

— A cóż mnie ten amerykański dorobkiewicz obchodzi. Nie jest moim gościem.

— Ale moim i ty masz obowiązek zająć się nim, równie jak ja.

— Ja go tu nie zaprosiłem, więc nie mam dla niego żadnych obowiązków. Nie mogę przecież stracić partii w kasynie dla takiego tam jakiegoś... Amerykanina.

— Ależ ja żądam tego, abysz został.

— Niech papa wybaczy, że nie będę posłuszny.

Powiedział stanowczo, zapalił papierosa i wyszedł. Baron wszedł pochmurny do saloniku. Elwira grała zawzięcie. Po burzliwym, gwałtownym marszu nastąpiły łagodne preludya, potem coś w rodzaju sonaty, aż senne, ciche płynęły tony, jak marzenia, widziadła, jak nuda dnia jesienno, jak ziewanie, i znowu brzmiał huragan tonów.

Baron rzucił się we fotel i jakby zapomniał o gościu, zgnębiony, marzyć zaczął i snuł mu się myśli czarne, smętne, ponure.

Śród tego przepychu salonów, śród gobelinów, marmurowych posągów, po kosztownych dywanach krążyło widmo ruiny majątkowej. Wyciągało ku baronowi trupie dłonie i chciało go dławic, na śmierć dławic. Opędza się widziadłom, uspokaja, wargające niepokojem serce, przywoływa na pomoc najrozmaitsze refleksy, ale widma nie uciekają. Ciążą go, to znowu wżerają mu się do głębi duszy i przemieniają w wyrzuty sumienia.

Był niegdyś szczęśliwy, spokojny. Dopóki żona nie umarła, mieszkał na wsi, pracował na roli w Berghausen. Był w domu spokojny, skromny dostatek, cześć ludzka i nadzieja najpiękniejszej przyszłości dla trojga dzieci. Po śmierci żony było mu pusto, samotno, więc raz i drugi wyjechał na kilka tygodni do Berlina i stolica zaczęła go zwolna nęcić, pociągać ku sobie, aż wreszcie przylgnął do niej i do jej życia. A życie było tu gorączkowe. Choroba wielkości ogarniała wszystkich od góry do dołu; francuskie miliardy po wojnie 1870 roku wyrastały z trującą legendą i tą legendą rozbudzały się fantazje, wzrastały fałszywe energie, podsycane chciwością mienia, potęgi, panowania. Powstał kult złotego cielca i jeden zapomniał nad wszystkimi ideał, a tym ideałem: żyć i użyć, używać i nadużywać, zanurzać się w zbytkach, błyszczeć, szumieć, imponować, olśniewać i deptać po wszystkich i po wszystkim, co tylko zdeptane być może.

Rozwinęły się zuchwałe, najczęściej bezczelne spekulacje, byle grosz płynął, byle złoto kapało, a czy tam z tego wyniknie ruina, czy splugawienie honoru, czy krzywda czyjaś, czy łzy i przekleństwa oszukanym, o tem nie myślał ten świat nowej epoki.

Dochody z dóbr i posagu żony, nie wystarczyły baronowi na to, aby mógł w stolicy błyszczeć, olśniewać, więc rzucił się w ten wir spekulacji, w który rzucało się tak wielu innych. Rozwinął dom na skalę najbogatszych milionerów, zbudował pałac, zawiązywał stosunki, które mu ułatwiały wyzyskiwanie tytułarnych i rzeczywistych godności, a owe tytuły i godności ułatwiały mu wstęp w najpierwsze sfery finansowe. Oddawał na targowicę spekulacji swoje starożytne nazwisko, swoje stosunki i płynął tak na tej wzburzonej fali, ale bez steru, ale bez woli, a niekiedy wbrew woli. Przedsiębiorstwa i spekulacje pochłonięły kapitał posagowy, zadłużyły majątek, zwichnęły zupełnie zdrową gospodarke domową i baron żył teraz właściwie tylko jeszcze pozorem, tylko jeszcze blich-trem, tylko jeszcze resztkami zachwianego kredytu.

A dzieci? Czyż miał czas zajmować się nimi?

Syn Gwido pozostawał pod opieką guwernerów, potem przeszedł w służbę wojskową, ale ojciec nie miał czasu, aby mu ciepła rodzinnego uczynić, ani duszą jego pokierować, ani charakter urobić. I zmarniał moralnie ów syn najstarszy i czuł się obcym w rodzicielskim domu. Wyrastał z niego człowiek bez serca, bez rozumu, wyrastał człowiek-zwierzę.

Córka Elwira, po stracie matki, bez wzoru, bez opieki, bez kierunku, wprowadzona zbyt wcześnie na błyszczące salony stolicy, przesyciła się nimi, nie nauczyła się dopatrywać wzniosłych celów życia, nudziła się życiem, rozkapryszona, w rozterce ze sobą. Gdzieś tam na dnie duszy migotały jakieś światła tego szczęścia, które człowiek sam z siebie wykrzesać może i wykrzesać powinien. Gdzieś na dnie duszy brzmiały jej harficzne dźwięki szlachetniejszych pragnień i porywów. Wpatrywała się niekiedy w te światła, wsłuchiwała w dźwięki i wtedy uśmiech zadowolenia osiadał przelotnie na jej ustach, marzyła o Berghausen, o latach swojego dzieciństwa i życie uśmiechało się ku niej pogodnie, jasne, ponętne. Bywały to chwile rzadkie, ale bywały. Nie mogły pojawiać się częściej, bo salon-moloch czyhał co dnia, żądny ofiary i nęcił ją szumem jedwabi, połyskiem światła, ogniem brylantów, szeptem pochlebstw i uwielbień i skoro w nim się znalazła, zniknęły owe światła i milnęły owe dźwięki na dnie duszy. Ojciec nie miał czasu dla niej, brat go mieć nie chciał i nie umiał, młodszy brat był dzieckiem i Elwira była sama, samotna. „Samotność mędrców mistrzyni“, powiedział poeta. Tak — może być mistrzynią mędrców, ale dusz słabych jest trucicielką.

Nad dziećmi w tej chwili nie zastanawiał się baron, jeno nad tem, co będzie jutro. To widział dobrze, że stanął na krawędzi przepaści i że lada chwila musi się w nią potoczyć, jeżeli go nie zatrzyma silna ręka milionera Snovarda.

Snovard jego zięciem? Amerykański przybłęda — nieznanego pochodzenia, ma zostać mężem jego córki, baronówny Ellerich i zostać nim dlatego, żeby splendor imienia Ellerichów ratować. Sprzedać ma córkę; straszne, to wstyd wobec dwudziestu pokoleń przodków.

I zerwał się baron, ocknął, zacisnął pięści, jakby chciał zwalczając kogoś, czy siebie. Nie, nie, córki nie sprzeda!

W tej chwili wypełzło widmo ruiny majątkowej i sunie ku niemu ponure, czarne, straszne i pokazuje mu na dnie przepaści nędzę, pośmiewisko ludzkie. Uląkł się baron, cofnął wstecz z przerażenia, a w tej chwili z przyległego pokoju zabrzmiały na fortepianie dzikie, gwałtowne akordy. Przypomniawszy sobie baron Elwirę i Snovarda. W tej chwili był tak zgnębiony, rozdarty, że nie miał odwagi i siły wejść do nich.

Gdy baron marzył i rozmyślał, Elwira wciąż grała, a Snovard, wsparty na poręczu krzesła, stał przy niej, jak zawsze posagowy, zimny. Gdy na chwilę grać przestała, zagadał Snovard, jakby od niechcenia:

— U pani widzę bezmierną energię temperamentu, której ciasno w tych ramach życia, w jakich się pani dotychczas zamyka.

— Gdyby tak było, jak pan mówi, to mogłabym te ramy rozszerzyć.

— Powinna to pani uczynić jaknajprędzej.

— W jaki sposób?

— Wyjść zamaż.

— Zabawne. Czyż to konieczne?

— Ależ zupełnie naturalne. Jako osoba niezamężna, w domu ojca, nie może pani przecież rozwinąć tej swobody, która przysłużyła mężatce.

— Za swój powód, aby się zaprzęgać w jarzmo małżeństwa.

— Dlaczego pani małżeństwo nazywa jarzmem? zdaje mi się przeciwnie, że ono dozwala większej swobody, że czyni życie wygodniejszym, a temsamem i przyjemniejszym.

— Ale krępuje obowiązkami.

— Zależy od tego, jak je kto pojmuje. Ja na przykład pojmuję małżeństwo jako połączenie się dwóch osób wzajemnie sobie potrzebnych i pomagających sobie do życia.

— Więc to interes handlowy, czy też handlowa spółka?

— Prawdę powiedziawszy — to wszystkie stosunki życia zawiązuje się z interesu, czyli dla zabezpieczenia sobie wzajemnych korzyści.

Elwira przestała słuchać i znowu uderzyła w klawisze i z większym jeszcze niż dotąd rozmachem. Zdawało się, że przelewa w nie czy walkę wewnętrzną, czy gniew gwałtowny. Snovard z całym spokojem słuchał tego wylewu wzburzonych

uczuć, jak zawsze pewien zwycięstwa we wszystkim, czego dokonać postanowił.

Zepsuta hołdami salonu, z rozbudzoną próżnością, bez głębszego etycznego ukształcenia, wyrosła Elwira bez wpływu matki, więc nie utrzymała w sobie poważnych wyobrażeń o życiu, nie ukształtowała serca, nie miała równowagi w charakterze. A jednak w głębi duszy był u niej posiew dobry, odziedziczony po matce, zacnej i rozumnej, tylko tego posiewu nie rozwinęło życie, a tłumiała beczyność i bezmyślność.

Snovard rozprawiał o małżeństwie, jak o spółce handlowej i temu sprzeciwiał się jej głos wewnętrzny. Był to instynkt kobiecego serca, które pragnie kochać i być kochanym. Usłyszała ten głos, płynący z serca — równocześnie przypomniawszy sobie spotkanie ze Schwerdtnerem, pierwszą z nim rozmowę, jego niezwykle zachowanie się, tak odmienne od zachowania tuzinkowych lwów salonowych.

Chciała odpędzić i zjawisko i wspomnienia, ale jej natrętnie i coraz wyraźniej przed oczyma stały. To ją zgniewało. Próżność, duma rodowa przemówiły teraz jeszcze głośniejszym i uczuła odrazę do Schwerdtnera, że ośmielił się jej przypomnieć. Jakiś nauczyciel domowy, syn wieśniaczy nasunął się jej przypadkowo na oczy i teraz ośmiela się budzić w niej jakieś wspomnienia. Uraza zamieniła się w obrazę i z pogardą odwróciła się od wspomnień i natrętnych widziadł, uderzyła kilkoma akordami na fortepianie i wstała nagle wyprostowana i dumna.

— Pani włada fortepianem prawdziwie po królewsku — rzekł Snovard z lekkim uśmiechem. W ten sam sposób mogłaby pani władać ludźmi, a to sprawiłoby pani bez porównania większe zadowolenie. Pani wybaczy, że do tego, co powiedziałem, nawiążę propozycję, może w oczach pani zbyt śmiała, czy niezwykła, ale według mego przekonania bardzo trafna i rozumna.

— Słucham pana.

— Nadmienię, że pojmuję małżeństwo, jako skojarzenie się dwóch osób, które wzajemnie potrzebować się mogą i które mają wzajemnie zaspokajać sobie różne korzyści. Pani ma wszelkie warunki potemu, aby zająć w świecie stanowisko imponujące, aby królować w najwykwintniejszym towarzystwie, a ja mam środki do tego niezbędne. Gdybym oddał do dyspozycji pani moje miliony — mogłabyś pani istotnie być pierwszą damą nie tylko w stolicy, ale i w całym państwie. Ja zaś, mając taką żonę, jak pani, mógłbym stworzyć ognisko towarzyskiego życia, przy którym zasiadałyby głowy koronowane. Czy pani pozwoliłaby, abym oddał pod jej rozwagę projekt naszego małżeństwa?

Elwira spojrzała na Snovarda z prawdziwym zdumieniem. Spodziewała się może, że będzie zabiegał o jej rękę, ale sposób, w jaki to teraz uczynił, był dla niej prawdziwą niespodzianką. Snovard nie otrzymawszy natychmiast odpowiedzi, spoglądał na nią przez chwilę spokojnie i w milczeniu, a gdy pauza była nieco za długa, odezwał się chłodno i obojętnie jak zwykle:

— Może pani wygodniej będzie później mi odpowiedzieć, a tymczasem niech mi wolno będzie uzupełnić moją myśl. Doświadczenie mnie pouczyło, że małżeństwa, zawarte nie z uniesień erotycznych, jeno z rozwagi i rozumnego obliczenia, bywają najszczęśliwsze. Wyobrażam sobie, że dość dwojgu ludziom wzajemnego szacunku i pomagania sobie w życiu. Niech pani raczy rozważyć bez przesady. Z góry oświadczam, że im bardziej starałaby się pani o urządzenie domu królewskiego, tem skorzej dostarczałbym na to środków, bo właśnie pragnę stworzyć dom pełen przepychu, a pani uczyniłaby to z wielkim smakiem i w sposób prawdziwie dystygowany. To byłby właściwy cel naszego małżeństwa.

Ta beceremonialność Snovarda, zaczęła się Elwirze podobać, jako rzecz oryginalna, więc uśmiechnęła się i rzekła wesoło:

— Pan tak niezwykle szczery, że nie mogę w tej chwili znaleźć stosownych wyrazów, aby tę szczerą pańską należycie ocenić.

— Nie nalegam, będę czekał cierpliwie, każdy interes potrzebuje namysłu i rozwagi; ja rozważyłem dobrze, teraz kolej na panią.

Elwira skinęła głową na znak potakiwania i znowu grać zaczęła, ale tym razem ułożyły się jej palce do wesołego walczyka.

Wszedł baron, zaczął rozmawiać obojętnie ze Snovardem, Elwira wstała od fortepianu i machinalnie przepatrywała nuty. Snovard pożegnał się, baron go odprowadził i odszedł potem do swego gabinetu, nie mając odwagi rozmawiać z córką.